

---

## Polonista, czyli kto?

---

Anna Turczyn

---

TEKSTY DRUGIE 2022, NR 2, S. 142–153

---

DOI: 10.18318/td.2022.2.9 | ORCID: 0000-0003-1611-5139

**N**ajprościej powiedziałabym, że absolwent polonistyki. I to byłaby prawda i nieprawda jednocześnie, bo kłopot z tą definicją wynika z problematycznej identyfikacji samej polonistyki. Prawie dziesięć lat temu Ryszard Nycz, odwołując się do programu pamiętnego Zjazdu Polonistów, przypomniał, że polonistyka – klasyfikowana jako odrębna dziedzina – „nie jest żadną dyscypliną, jest kierunkiem stworzonym po I wojnie i oferującym wykształcenie prowadzące do zawodu nauczyciela”<sup>1</sup>. Zatem polonista mógłby być nauczycielem polskiego. Ale i to nie jest już prawda, albo przynajmniej nie do końca, ponieważ obecnie, powiada profesor, „kształcimy ludzi, którzy w małym stopniu (20–30%) będą nauczycielami. I ten procent będzie się zmniejszał”<sup>2</sup>. Żeby więc dobrze zrozumieć, na czym polega kłopot z postawionym przeze

---

**Anna Turczyn**, absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracuje w Centrum Studiów Humanistycznych UJ. Interesuje się psychoanalizą, szczególnie francuską. Napisała pracę doktorską o Jacques’ie Lacanie i interpretacji. Tłumaczy. Wśród jej przekładów znalazły się książki M. Augé, J. Kristevej, R. Barthes’a. Kontakt: anna.turczyn@uj.edu.pl

---

1 R. Nycz *Polonistyka (znowu) w przebudowie*, „Postscriptum Polonistyczne” 2012 nr 1, <http://www.postscriptum.us.edu.pl/pl/domowa/numery-archiwalne/2012-1/> (marzec 2021).

2 Tamże.

mnie pytaniem, trzeba by wyraźnie oddzielić kwestię tożsamości od umiejętności. Zadaniem polonisty, według Nycza, miałyby być kształcenie pewnych umiejętności, które umożliwiałyby sprawne funkcjonowanie w mediach, usługach, kulturze, słowem – w „obszarze tekstowym”. Polonista byłby więc specjalistą od tekstu rozumianego bardzo szeroko, a w konsekwencji sama polonistyka nie zamykałaby się już w ciasnej definicji, „kanonu edukacyjnego z zakresu historii języka i historii literatury”<sup>3</sup>. Ta nieprzystająca do współczesności identyfikacja w obliczu potrzeby kształcenia umiejętności ulega zatem funkcjonalizacji. Pytanie o to, kim jest polonista, trzeba by zastąpić nowym: co polonista potrafi robić? Jego aktywność interpretuje się poprzez „kwalifikacje sprawnościowe, umiejętność opanowania pewnych technik badawczych, poznawczych, sprawczych”<sup>4</sup>. W ten sposób dałoby się przekroczyć kłopot z definicją i tożsamością, albowiem samo objaśnienie zadań wystarcza za ich identyfikowanie. W konsekwencji interpretacja przeskakująca identyfikację każe myśleć o wyjątkowym, wyróżniającym charakterze polonistycznej formacji. Według Ryszarda Nycza opiera się ona na dwustronnym ujęciu człowieka: to jednostka, która należy do „uniwersum symbolicznego”. Polonistyka jako jedyna realizuje tę funkcję formacyjną: wprowadza, kształtuje i usprawnia upodmiotowienie jednostki. Ale też odzwierciedla podwójność czy właśnie dwustronność takiego upodmiotowienia. Żeby podmiot mógł funkcjonować sprawnie, musi mieć przydawkę; „nie ma bezprzymiotnikowego pojęcia podmiotu”, dodaje Nycz. Poruszanie się w obszarze tekstów wymaga sprawności językowej, czyli podmiotowej *par excellence*, oraz wymusza jakąś formę dookreślenia tego podmiotu za pomocą na przykład kanonu historycznoliterackiego czy zasobów polonistycznej erudycji. Jeśli dobrze pojęłam argumenty Ryszarda Nycza, to „nowa polonistyka”, w odróżnieniu od tej wyłącznie nauczycielskiej, zdecydowanie przesuwając akcent formacyjny z podmiotu kanonicznego na podmiot określający się względem kanonu. Polonista posiadałaby więc umiejętność sprawnego poruszania się wśród tekstów, ale również kreatywnego zestawiania ich i twórczego odbioru. Z jednej strony należy do symbolicznego uniwersum, a z drugiej współtworzy je i rozwija. Polonistyka nie byłaby już zamkniętym kierunkiem wyższej specjalizacji w ramach studiów humanistycznych, ale pewnym modelem kształcenia kreatywności czy też ogólnej językowej sprawności w warunkach akademickich.

---

3 Tamże.

4 Tamże.

Z wypowiedzi Ryszarda Nycza wynika jasno, że ta nieunikniona i już nawet rozpoczęta polonistyczna transformacja wymaga zmian nie tylko instytucjonalnych, ale przede wszystkim identyfikacyjnych i interpretacyjnych, a więc zmian w samym myśleniu. Tylko jak zmienić myślenie? Do tego potrzebny jest odpowiednio uformowany język. Trzeba stworzyć taki język, który nie będzie zamykał swych znaczeń w definicjach, ale otworzy je na interpretacje. Zmiana w myśleniu następuje wówczas, kiedy pojawia się inny obraz świata lub pewien obraz świata, jeśli ma to być zmiana celowa. Ten obraz wyłania się z języka.

### „Przekłęty problem”

Taką zmianę poprzez stworzenie nowego języka, a za jego pomocą nowego – również polonistycznego – obrazu świata proponuje w swojej najnowszej książce Michał Paweł Markowski, profesor-polonista. Wprowadzające uwagi Ryszarda Nycza potraktuję jako pewnego rodzaju rozpęd potrzebny do omawiania tej książki, gdyż jest ona w warstwie ideowej niezwykle obszerna. Markowski wiele miejsca poświęca polonistyce i swoim polonistycznym wyborom i doświadczeniom. Wpisuje te refleksje w szeroki horyzont polskiej akademii, która jego zdaniem „jest w ogromnej większości polonistyczna”. Zatem tożsamościowy kłopot polonisty, ujęty przeze mnie w inicjalnym pytaniu, autor *Polski, rozkoszy, uniwersytetu* przekłada na problem dotyczący wielu dyscyplin humanistycznych. W jaki sposób ów „wielopostaciowy dyskurs” jest w stanie zbudować adekwatny obraz świata? Czy w ogóle musi to robić? Czy to właśnie nie takie całościujące, ideologiczne roszczenia stały się przyczyną kryzysu i koniecznej „przebudowy”, o czym wspominał Nycz? Polska akademia jest dla Markowskiego polonistyczna wtedy, kiedy pisze i mówi po polsku. W ten sposób otwiera przed jednostką uniwersum symboliczne, więc daje jej możliwość upodmiotowienia się w języku polskim, choć raczej powiedziałabym „polonistycznym”, bo nie jest to sama instytucja języka, ale instytucja składająca się z języka i ideologii. Do tego, jak sądzę, w znacznej części odnosi się Markowski, gdy pisze o różnego rodzaju uniwersyteckich upodmiotowieniach. Język „polonistyczny” jest obciążony konkretną identyfikacją, która służy konkretnym interpretacjom. Z tego akademickiego porządku Markowski wyciąga podmiot i przygląda się dokładnie, czy rzeczywiście jest on polonistyczny czy może polski, amerykański albo jeszcze inny. I jak nietrudno zgadnąć, okazuje się, że owszem, podmiot może być rozmaicie zindywidualizowany. Co więcej, właśnie taki być powinien. Polonistyka musi

formować, ale nie może formatować. Umiejętność oddzielenia jednego od drugiego wiąże się bardzo ściśle z utrzymaniem dialektyki podmiotu i indywiduum. I temu w gruncie rzeczy poświęcona została ta książka. Ale po kolei.

*Polska, rozkosz, uniwersytet. Opowieść edukacyjna* to ostatni tom „polityczno-społecznej trylogii” i dlatego można mówić, że stanowi swoiste domknięcie myśli autora<sup>5</sup>. Każda z części tej trylogii prezentuje refleksję w obrębie innych zagadnień, choć są one sąsiadujące. Z grubsza powiedziałabym, że humanistyka, polityka i uniwersytet – te trzy dziedziny tematyczne odpowiadające kolejnym częściom – pokazują, w jaki sposób i w zależności od jakich czynników kształtują się podmiotowa identyfikacja i interpretacja, bo Markowskiemu cały czas chodzi o przepracowywanie, rozpracowywanie i wypracowywanie relacji podmiotowych na gruncie teorii literatury (tom 1), życia politycznego i społecznego (tom 2) oraz rzeczywistości zawodowej i osobistej (tom 3). I w pewnym sensie ten ostatni tom trylogii odzwierciedla ów tok myślenia. Trzy główne tematy to jakby trzy części, trzy obszary nasuwających się na siebie i przenikających wzajemnie skojarzeń: życie prywatne, zawodowe i życie uniwersytetu.

Inny wątek, również wyraźnie obecny w trakcie lektury, to niezwykle osobiste, wręcz autobiograficzne wyznania. Ale odnoszę wrażenie, że służą one innemu celowi niż w tradycyjnej autobiografii. Markowskiemu nie chodzi o przeobrażenie „ja” empirycznego w „ja” literackie, to drugie bowiem otwarcie prezentuje już od samego początku. To jest podmiot w pełni osadzony w uniwersum symbolicznym, bez żadnych uchybień. Tutaj, jak sądzę, fakt biograficzny pojawia się w roli przydawki. Markowski, podobnie jak Nycz, nie wierzy w „bezzprzymiotnikowe pojęcie podmiotu”, chociaż w odróżnieniu od autora *Tekstowego świata* przymiotników szuka nie tylko w kanonie, ale również w życiu prywatnym. W pewnym sensie własne życie traktuje jak m i ę s o, które w swojej kuchni potrafi przyrządzić na bardzo wiele sposobów (podaje nawet kilka ulubionych przepisów). Stąd być może „literackość” tego podmiotu wydaje się czasem nazbyt dosłowna, uobecniona bardziej fizycznie niż symbolicznie. Jeśli to jednak miałyby być autobiografia – moim zdaniem nią

5 Chodzi o dwie wcześniejsze publikacje: M.P. Markowski *Polityka wrażliwości. Wprowadzenie do humanistyki*, Universitas, Kraków 2013, oraz tenże *Wojny nowoczesnych plemion. Spór o rzeczywistość w epoce populizmu*, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2019. W ostatniej autor pisze wprost: „Te trzy książki: *Polityka wrażliwości*, *Wojny nowoczesnych plemion* oraz *Polska, rozkosz, uniwersytet*, stanowią moją polityczno-społeczną, indywidualno-podmiotową trylogię i należą je czytać razem, żeby odczytać trafnie moje intencje, zwłaszcza dotyczące polityczności.” (s. 339)

nie jest – to tylko częściowo, tylko w pewnych proporcjach i z zastrzeżeniem, że autobiograficzna przemiana podmiotu ma służyć jego zindywidualizowaniu, a nie usymbolizowaniu. I w tym miejscu dochodzę do tego, co według mnie jest w tej książce najważniejsze. „Przeklęty problem”, pisze Markowski, to wytyczanie granicy pomiędzy podmiotem a indywiduum, podmiotowością a indywidualnością, upodmiotowieniem i zindywidualizowaniem:

Nie sposób pisać o dialektyce indywiduum i podmiotu, czyli dwóch fundamentalnych figur zachodniego Ja, nie aplikując jej do samego piszącego. Dlatego rozdziały „biografizujące”, wysuwające na plan pierwszy moje indywidualne przygody w życiu, kuchni i na uniwersytecie, zderzają się – czasem gwałtownie – z rozdziałami mocno osadzonymi w konwencji akademickiej. (s. 397)

Autor stawia sprawę jasno: tutaj różnica jest konieczna nie do tego, żeby ją zacierać lub ukrywać pod akademickim dyskursem, lecz do tego, żeby podmiot zindywidualizować w obszarze akademii. Obrazuje to sam tytuł książki. Wyjęta z kuchni rozkosz utkwiała między dwoma znaczącymi, Polska i uniwersytet, czyli pomiędzy przynależnością do określonej kultury i języka (urodzony w Polsce) a kwestią wyboru (z zawodu polonista). Mówiąc inaczej, pomiędzy uniwersum symboliczne a funkcję akademicką Markowski wrzuca rozkosz, która nieuchronnie odnosi do indywiduum. I to jest „przeklęty problem”, bo z jednej strony od tej rozkoszy nie ma ucieczki, a z drugiej rozkosz niezapośredniczona może być szkodliwa. Ile wziąć z życia do akademii, a ile z akademii przenieść do życia?

### **Teoria jak literatura**

Jak napisałam, Markowski nie zastanawia się nad tym, czy życie osobiste przekłada się na sprawne funkcjonowanie podmiotu w akademii, tylko wprost pyta, ile tego życia i w jaki sposób indywidualizuje ono akademicki podmiot. „Trzeba by stworzyć personalną narrację nie dla samej narracji, która puszczonej wolno, osiadałaby na manowcach myśli, ale dla przedłożenia jakiegoś argumentu, który będzie można rozważać nie w oddzieleniu od tej narracji, ale wyłącznie razem z nią” (s. 74). Indywidualna emocja musi zostać usymbolizowana w formie argumentu, inaczej mówiąc: za pośrednictwem. Ale sama w tym procesie nie ginie, wraz z symbolizacją wnosi coś do języka. Dlatego trzeba „mieszać te porządki”. W jaki sposób robi to Markowski?

Po pierwsze, już wspomniałam, przyjmuje, że nie można oddzielać od siebie indywidualności i podmiotowości, chociaż jednocześnie podkreśla, iż ta dwudzielność musi być wyrażona w odpowiednim języku. O ile poeta poszukuje możliwości słownego wyrazu swojej emocji, o tyle w rozumowaniu Markowskiego emocja musi być wyartykułowana jako argument. I tak jak dyskurs poetycki jest pewną formą indywidualizacji, bo podmiot wkracza weń z własną sygnaturą, tak dyskurs akademicki mógłby sygnować podmiot akademicki, jeżeli ten byłby w stanie wypracować własny, by tak rzec, słownik argumentów, tematów i pojęć. Skoro podmiot to jednostka, która się upodmiotowiła, to zdaniem Markowskiego nie należy sądzić, że tym samym wyzbyła się swojej jednostkowości; podmiot akademicki trzeba rozpatrywać jako zindywidualizowany. Chodziłoby więc, po drugie, o stworzenie w ramach dyskursu uniwersyteckiego („polonistycznego”) odpowiedniego języka, który wyrażałby coś więcej niż tylko system wiedzy. Dlatego na początku napisałam, że pomiot musi mieć przydawkę. Według Markowskiego podmiot akademicki jest tak samo zanurzony w języku jak podmiot literacki i nie tylko reprezentuje kanon wiedzy, ale dokonuje swojego zindywidualizowania poprzez „furtkę” interpretacji. Dla autora upodmiotowienie nigdy nie będzie procesem dokonanym, bo jest całkowicie zależne od języka, w którym się realizuje. Dlatego konieczne jest wypracowywanie, a nawet przepracowywanie własnego języka po to, żeby móc „odmieniać style i tematy, metodologie i języki, mnożyć poziomy opis, przeskakiwać z rejestru w rejestr” (s. 247), stworzyć w jednym miejscu przejście między książką akademicką a esejem, który z akademii wychodzi w życie codzienne.

Ukształtowanie odpowiedniego języka obrazuje nie tylko konieczną „przebudowę” polonistyki, ale również towarzyszący jej proces zindywidualizowania „polonistycznego” podmiotu. „Polonistą jest każdy akademik piszący po polsku, traktujący polszczyznę jako niezbędne medium własnej roboty” (s. 253). Można by powiedzieć, że w odróżnieniu od Nycza Markowski wraca do identyfikacji i odpowiada raczej na to, kim jest, niż co potrafi polonista. Polonista to podmiot ukonstytuowany w języku polskim, który, jednocześnie należąc do uniwersum symbolicznego tego języka i kultury, kształtuje je i współtworzy. Poszerza normę o swój wyjątek, jak można by powiedzieć o poecie. Zresztą tak jak i o samym Markowskim poloniście. Jego wykłady czy książki, akademickie i teoretyczne, nigdy nie były odzwierciedleniem wyłącznie stanu wiedzy. W trakcie wykładu z teorii literatury prowadzonego dwadzieścia lat temu na krakowskiej polonistyce Markowski zawsze mówił o teorii jak o literaturze. Dlaczego „jak”? Od jesieni 2001 roku uważam – dziś

nawet tym bardziej – że Markowski potrafi zrobić naprawdę świetną literaturę nie z „niczego”, jak poeta, ale z teorii, jak profesor. Umiejętnie łącząc indywidualną emocję z dyskursywnym argumentem, wprowadza jednostkową narrację w rozważania wymagające akademickiego *neutrum*. Nigdy nie pomijał etapu identyfikacji, czyli definicji, ale też nie zatrzymywał się na niej, zmierzając ku interpretacji. Najpierw uzgodnienie znaczenia, a potem rozróżnienie<sup>6</sup>. Na polonistyce najpierw pojawia się podmiot, a potem jego „uprzymiotnikowanie”. I wtedy, i teraz Markowskiemu nie chodzi więc o to, żeby pisać i mówić z pozycji dokonanej identyfikacji z podmiotem bądź indywiduum, ale raczej żeby ten poziom przekraczać. Żeby prowokować, inaczej artykułować swoje definicje (tożsamości), interpretować po coś więcej, niż tylko żeby pokazać czy podkreślić własną różnicę z innymi. Dlatego jest to literatura zrobiona z teorii.

### Podmiot w kuchni

Napisałam, że Markowski wrzuca rozkosz dokładnie pomiędzy symboliczną przynależność a zawodowy wybór. W tym ujęciu należałoby rozumieć, że rozkosz jest nierozzerwalnie z nimi powiązana. Na tym właśnie opiera swój język Markowski. Podmiot siłą rzeczy indywidualizuje się w swoim języku i poprzez swój język – indywiduum jak tytułowej rozkoszy nie można się pozbyć – ale żeby ta indywidualizacja była czytelna, musi zostać zidentyfikowana i zinterpretowana.

W tej książce metaforą kształtowania takiego języka jest kuchnia. Autor przedstawia ją zarówno jako miejsce mocnych identyfikacji, jak i niepewtarzalnych interpretacji, również w tym dosłownym znaczeniu, kiedy mówi się o produktach, potrawach, przepisach i smakach. W kuchni indywidualność walczy z podmiotowością. Indywidualna obróbka treści spożywczej lub intelektualnej ma sens tylko wtedy, gdy zostaje upodmiotowiona, czyli w tym znaczeniu upowszechniona, przeznaczona dla innych („dla siebie samego nie gotuję prawie nigdy”, s. 92). Z drugiej strony zindywidualizowana przyjemność jedzenia lub czytania zyskuje sens – czyli swój wyraz – gdy jest z kimś dzielona, jak pisze Markowski: tylko w takiej sytuacji „intymnie socjalizuje”, wyciąga z „bańki przyjemności dla samej przyjemności”. Potrawy muszą być

6 To również konsekwencja przyjętej od samego początku krytycznej postawy względem znoszącej wszystkie definicyjne ograniczenia „literatury”. Zob. M.P. Markowski *Jak (nie) pisać o dekonstrukcji?*, „Teksty Drugie” 1994 nr 2.

nie tylko przyrządzone, ale i nazwane. Smakować i opisywać odnosi się zarówno do dania, jak i do pisania: „kuchnia przechodzi u mnie niepostrzeżenie w bibliotekę” (s. 94). Sens wspólnego jedzenia można by więc rozumieć – i tak zostało to przedstawione – jako przejście od indywidualności gotującego do podmiotowości kucharza z zachowaniem tego pierwszego w drugim. Zindywidualizowany podmiot kuchni staje się przecież wyznacznikiem pewnego stylu, charakteru, pewnej niepowtarzalności dzieła kulinarnego. Dlatego kuchnia może być tutaj przestrzenią działania podmiotu, który poprzez kontakt z tym, od czego uwolnić się nie można (rozkosz), robi coś dla innych (zapośredniczenie). To, co publiczne i wspólne (uczenie i kolacje), powstaje z tego, co wybitnie jednostkowe, wręcz cielesne, ale też indywidualnością można się cieszyć tylko we wspólnocie (czytelników lub przy stole).

„W zamysłu jest to więc książka z a r a z e m indywidualna i podmiotowa. Pisał ją domowy *chef* i profesor literatury, pan od pieczenia i od polskiego, czeladnik kuchenny i akademicki, hodowca ziół (ulubione: estragon, kalendar, tymianek) i czytelnik Hegła” (s. 93-94). Jeśli więc kuchnia miałaby być metaforą odpowiedniego języka, rozumiem to w ten sposób, że chodzi o język wyrażający zarówno tożsamość i wszystkie wynikające z niej kłopoty z definicją (polonista), jak i proces przekształcenia czy „przyrządzenia” podmiotu na podstawie dostępnych w systemie „składników”. Gotowy przepis na podmiot to wejście w uniwersytet, zapośredniczenie jednostki w języku teorii. Natomiast stworzenie własnego przepisu to przedsięwzięcie zakładające osobiste zaangażowanie w język. W efekcie otrzymujemy potrawy, które wszędzie i zawsze smakują tak samo, oraz takie, które smakują jak nigdzie indziej.

Markowski-kucharz ceni te drugie. Odwiedza restauracje w Nowym Jorku czy Limie, bo serwowane tam dania są niepowtarzalne. Można by powiedzieć, że poetycki język tych potraw stanowi nową interpretację uzgodnionej wcześniej definicji, bo stawką w tej książce ma być stworzenie lub ukształtowanie języka na tyle powszechnego, żeby mógł ukonstytuować się w nim rozpoznawalny dla innych podmiot, i na tyle zindywidualizowanego, żeby tę rozpoznawalność dało się uczynić charakterystyczną. Zatem musiałby to być język pozwalający na wyrażenie tożsamości, a więc identyfikujący (Polska, nacja), jak i określający różnicę, czyli interpretujący uzgodnione wcześniej definicje (mięso, kuchnia), i wreszcie język zawodowy charakterystyczny dla danej dyscypliny (polonistyka, uniwersytet).

Gdybym w tym miejscu zakończyła swoją recenzję, to konkluzja byłaby taka: opowieść edukacyjna Michała Pawła Markowskiego jest opowieścią o tym, co się dokonało. Autor intencjonalnie wprowadził fakty ze swojej



biografii, żeby podkreślić historyczny wymiar tego projektu. Ukształtował odpowiedni język, wypracował własny przepis, stworzył swoją kuchnię. A jednak pozostaje coś, co nie pozwala na tym się zatrzymać. Otóż ten projekt według mnie opiera się na bardzo dosłownym, niemal fizycznym zindywidualizowaniu podmiotu. To zaś odwraca uwagę od tego, co w założeniu było najistotniejsze, czyli od zindywidualizowania podmiotu akademickiego („polonistycznego”), które miałyby służyć tejże akademii, a nie być wymierzone przeciwko niej. Odnoszę bowiem wrażenie, że autor chce poprawiać system, nieustannie nim wstrząsając. Ta wieczna dialektyka, ciągła opozycja, te wszystkie kuchenne czynności stale podkreślają, że między podmiotem a indywiduum trwa walka. Jest to niezwykle ważne dla jednostki, która nie chce, nie może być „bezzprzymiotnikowym podmiotem”, dlatego jest też bardzo ważne dla autora. Pytanie tylko, czy w ten sposób miałyby się dokonać zmiany w myśleniu o polonistyce. Czy takie sfunkcjonalizowanie języka „polonistycznego” pozwoli rzeczywiście dostrzec w podmiocie jego zindywidualizowane cechy, a nie tylko wieczną walkę? Czy akademie mogłaby być mniej – zaryzykuję to słowo – traumatyczna? Tak. Oto przykład.

## Drzewo

Z okazji osiemdziesiątych urodzin dawni uczniowie, doktoranci i seminarzyści Marii Janion wydali książkę pamiątkową zatytułowaną *Księga Janion*<sup>7</sup>. Praca ta zgodnie z intencją redaktorów miała być swoistą monografią poświęconą nie osobie znakomitej badaczki, tylko jej językowi. Inaczej mówiąc, jest to *k s i ę g a* napisana w języku Janion, choć nie przez samą Janion. Na dowód tego zawiera obszerny spis „tematów janionowskich”, do których odnosili się piszący poszczególne artykuły autorzy. Księga składa się z czterdziestu pięciu tekstów dobitnie potwierdzających, że zostały napisane w języku Janion. Jest

7 *Księga Janion*, oprac. Z. Majchrowski, S. Rosiek, słowo/obraz terytoria, Gdańsk. Dodam przy okazji, że postać wybitnej badaczki wprowadziłam nieprzypadkowo również z tego powodu, że jej nazwisko przywołano na czwartej stronie okładki I tomu trylogii Markowskiego, wpisując tym samym refleksje autora w szerszy nurt rozważań okołopolonistycznych, zapoczątkowany właśnie przez Janion. Poza tym w omawianej tutaj książce Markowski wielokrotnie odnosi się do autorki *Niesamowitej Słowiańszczyzny*. Pisze na przykład: „A jednak Janion miała rację, że trzeba szukać sposobów na przekroczenie granicy dzielącej poznanie od terapii, teorię od ćwiczenia, podmiotu od indywiduum, bo to tu właśnie rozstrzygają się rzeczy dla dyscyplin fundamentalne” (s.385). Można by więc zakładać, że główny postulat książki o nieskończonej dialektyce między podmiotem a indywiduum koresponduje w jakiś sposób z transgresyjnym ujęciem poznania i terapii u Janion.

to język na tyle systematyczny, że łatwo przyporządkować go do dziedziny historii idei lub krytyki literackiej. A z drugiej strony jest na tyle zindywidualizowany, że bez trudu daje się rozpoznać „tematy janionowskie”. Został on zobrazowany w postaci drzewa. „Drzewo Janion”<sup>8</sup> to opowieść, ale nie genealogiczna, tylko intelektualna, językowa właśnie. „Drzewo duchowych i intelektualnych pokrewieństw”, jak piszą redaktorzy, na którym przedstawiono magistrów („listki”) i doktorów („konary”), z których wyrastają kolejne gałęzie i listki. To nie tylko osoby bezpośrednio wykształcone w dyscyplinie, którą reprezentowała Maria Janion, ale przede wszystkim osoby i ich późniejsi uczniowie ukształtowani w języku, jaki stworzyła Maria Janion. „Drzewo Janion” jest jedno, ale jego korona przypomina las. Mogłaby to również być alegoria o półwiecznej historii wzrastania i formowania się zindywidualizowanego podmiotu Janion – księgi, drzewa, języka.

### Stół

W przypadku projektu Michała Pawła Markowskiego zamiast o drzewie należałoby mówić o stole. To stół kuchenny, stół pisarski, stół w sali wykładowej i wreszcie stół, na którym serwuje się kolację. Do stołu się siada i od stołu się wstaje. Stół można przesunąć, przenieść. Konary, gałęzie i liście są organicznie związane z drzewem; w *Księdze* chodzi oczywiście o „organiczność” intelektualną. Samo drzewo się nie porusza, ruchowi się poddaje; rozrasta się w sposób niepojętowany, mimo że stale tkwi w jednym miejscu. Natomiast nieustanna dialektyka zasiadania do stołu i wstawania od niego to metafora ruchu, który nie może się w niczym zakorzenić. Organizuje się wokół jakiegoś tematu (*discursus*), ale nie potrafi, by tak rzec, utworzyć żadnego systemu trwałych kanałów i powiązań, takich jak na przykład zasilające i odżywiający konary i gałęzie tkanki „tematy janionowskie”. Do stołu w rozumieniu Markowskiego siada się z powodów towarzyskich, potrawy serwuje wyłącznie rodzinie lub zaproszonym gościom. Co więcej, chciałabym podkreślić ten towarzyski „popęd”. Mimo że autor pisze o wspólnocie, o społeczeństwie, to jednak przy jego stole siedzą wyłącznie wybrani współbiednicy: autorzy przeczytanych książek, studenci, doktoranci. Podmiotem jest się dla innych, pisze, ale trzeba by dodać, że tych innych wybiera sobie sam. To powoduje, że proces podmiotowej indywidualizacji jest już sam w sobie elitarny, choć autor występuje przeciwko elitom. W części V zatytułowanej *Zobowiązanie*

8 Tamże, s. 128.

publiczne wyrażnie domaga się „osłabienia klasowej elitarności uniwersytetu”, „odblokowania akademickiego dyskursu” oraz „przełożenia siebie samego na język dostępny poza dyscypliną”. To wszystko miałyby się jednak zrealizować wśród zaproszonych do stołu, a więc wybranych. Czy oznacza to, że podmiot nie może zindywidualizować się w byle jakim otoczeniu? Czy zawczasu wybrane grono jest podstawowym czynnikiem uruchamiającym ten proces? Co w tej sytuacji może oznaczać kształtowanie odpowiedniego języka? O ile w przypadku Marii Janion proces symbolizacji wiódł nieodzownie w kierunku odnawiania znaczeń, przekraczając jednostkowy horyzont<sup>9</sup>, o tyle tutaj identyfikacja i interpretacja nieustannie koncentrują się wokół jednego: wokół j e d n e g o podmiotu. Drzewo stanowi metaforę wewnętrznego przekazu, ponieważ zasila konary od wewnątrz, chociaż ostateczny kształt korony jest zwykle wynikiem działania czynników zewnętrznych. Stół z kolei oznacza, że dosiadający się do niego przyjmuje warunki gospodarza i musi się podporządkować. Grupa przy stole podejmuje temat narzucony przez profesora, kucharza, pisarza. Inaczej mówiąc, d r z e w o Janion rośnie dla innych i w innych, natomiast s t ó ł służy głównie Markowskiemu.

Zarówno jeden, jak i drugi przypadek jest wyjątkowy, wybitny. Zestawiłam je ze sobą nie po to, żeby wartościować, ale żeby uwypuklić istotną między nimi różnicę. Podmiot na gruncie „polonistycznej” akademii może zostać zindywidualizowany (drzewo) lub sam się indywidualizuje (stół). Z jednej strony dokonuje się to jakby „przy okazji”, z drugiej stanowi cel sam w sobie. Pierwszy przykład akcentuje usymbolizowaną obecność, drugi uobecnia się niemal fizycznie. Co mogłoby to oznaczać w świetle przywołanych na wstępie uwag o polonistycznej transformacji? Pomnikowe drzewo odzwierciedla w pewnym sensie efekt misyjnego pojmowania humanistycznego wykształcenia, podczas gdy wielozadaniowy stół służy głównie doraźnym realizacjom. Polonistyka to jedno i drugie. Polonistyczna akademicka kształci umiejętności konieczne do tego, żeby się w niej rozwijać i się z niej wybić. Michał Paweł Markowski dosyć radykalnie odpowiedział na postulat kreatywności, o którym wspominał Ryszard Nycz. Według niego jest to kreatywność przede wszystkim podmiotowa; podmiot rozwiązuje kwestie, które go dotyczą, i w ten sposób się indywidualizuje. Odnoszę jednak wrażenie, że

9 „Wszechstronne upodmiotowienie” dokonujące się za sprawą literatury ma również „ochronić barwę indywidualności”, bo odnawianie znaczeń jest możliwe tylko wówczas, gdy angażuje podmiot, by tak rzec, poznawczo i terapeutycznie („indywidualnie”). M. Janion *Odnawianie znaczeń*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980, s. 238-239.

indywidualizacja w tej sytuacji oznaczałaby wyjście z akademii. Czyżby więc taka miała być „nowa polonistyka”?

## Abstract

---

### Anna Turczyn

JAGIELLONIAN UNIVERSITY

*A Polish Philologist, Meaning Who?*

A review of Michał Paweł Markowski's *Polska, rozkosz, uniwersytet. Opowieść edukacyjna* [Poland, Delight, University: An Educational Story] published by WUJ, Kraków 2021.

## Keywords

---

Polish studies, subject, individuality, interpretation, university